LP 68142

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 5.

JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA

KRÓLESTWO GRZYBÓW

TOCIA

Jan Caspari

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

054a
68142
I

KRAKOW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

KRÓLESTWO GRZYBÓW.

Gdzieś na świecie, daleko stąd, rósł sobie las. Jakie kto tylko chciał drzewa, mógł tam znaleźć. I dęby i sosny i brzozy i wierzby... a wszystko silne... zdrowe.

Do drzew tuliły się krzaki, czepiały mchy wilgotne; różnobarwne powoje i chmiel dziki po gałęziach pięły się w górę do słońca! A tak się ta zieleń posplatała, poskręcała razem, że w niektórych miejscach w lesie przejść nie było można.

Więc też i nikt nie przechodził. Ludzie prawie wcale tego lasu nie znali. Za to zwierzęta znały bardzo dobrze.

Lisy miały tam swoje nory, wilki legowiska. Po brzegach zające chrupały młode pędy[1]) lub korę. W dziuplach znowu siedziały rude wiewiórki, a czasem też jaka kuna[2]) przemknęła po grubym konarze.

---

[1]) Pędy — młode gałązki. [2]) Kuna — zwierzątko drapieżne, żyjące w lasach.

A co ptaków mieszkało w tym lesie!

Niechno nadszedł ranek, niechno wyjrzało z za chmur słońce, dopieroż to były świergoty, a śpiewy, a kukania!

Czy kwiaty tam rosły? pytać nawet nie potrzeba.

Dość było posłuchać choć przez chwilę owadów brzęku.

Chmarami zbiegało się to maleństwo ze stron różnych po miodek słodki.

Najwięcej jednak rosło grzybów. W środku lasu, na zielonej polance między mchami była ich stolica.

W stolicy królował grzyb potężny. Był on już stary, popękany, podobno robaczywy nawet. Ale o tem nie mówcie nikomu, to sekret wielki. Nazywał się borowik tysiączny. Nic ta robaczywość borowikowi nie szkodziła, bo rządził dobrze i wszystkie grzyby go słuchały.

Po każdym deszczu rozlegała się komenda.

— Hej, rydze, maszerować mi tam pod jałowce. Syrojadki[1]) i gąski[1]) niech się trzymają zarośli! Gromadkami, gromadkami koźlaki[1]), nie rozbiegać mi się po lesie!

A to co? Muchomory! Precz z nimi! Wypędzić mi tych szkodników daleko. Postroiło się to w czerwone suknie, w perły białe, zadziera głowę do góry, a nic nie warte.

Precz z muchomorami!

---

[1]) Syrojadki, gąski, koźlaki — gorsze gatunki grzybów, zwane ogólnie bedłkami.

I tak dalej... tak dalej...

Dobrze było grzybom pod rządami mądrego króla. Często też mówiły do siebie:

— Żeby tylko żył jak najdłużej!

Bo stary grzyb nie miał syna.

Rósł samotny.

Było to wielkie dlań zmartwienie, to też biedak myślał nieraz:

— Komu ja tron zostawię? Kto będzie pilnował po mnie mojej dziatwy ukochanej?

Aż raz, jak zaczęły padać deszcze, jeden tydzień, drugi, trzeci, tak i obudziły wszystkie, najgłębiej leżące w ziemi nasionka grzybie.

Wstaje ze snu jednego ranka król stary, patrzy, tuż przy nim pękła ziemia, a z ziemi wygląda śliczny, maleńki, cały wilgotny jeszcze grzybek.

Radość z narodzin królewicza była ogólna.

Liljowe dzwoneczki i konwalje zaczęły zaraz dzwonić z całej siły i głosić wielką nowinę.

— Dyń... dyń... dyń... Królewicz nam się narodził! — rozlegało się po wszystkich kątach lasu.

A jakie składano królowi powinszowania!

Świerszcz zagrał marsza tryumfalnego — wprawdzie tak cicho, że go w ogólnym gwarze nie słyszano, ale jednak może właśnie z tej przyczyny marsz bardzo się podobał.

Za to skoro wystąpiła kapela ptasia, skoro zagwizdały kosy, zaśpiewały szczygły, zaćwierkały pliszki i sikorki, to już wtedy i głuchy musiałby tę muzykę usłyszeć. Dzięcioł jako

kapelmistrz takt wybijał, więc się ani razu nie pomylili.

Ze słowikiem trochę było biedy. Wiadomo wszystkim, że on śpiewa tylko do połowy czerwca, a ponieważ urodziny królewicza wypadły w sierpniu, więc jak się słowik uparł, to i nie chciał do koncertu należeć.

Obyło się też bez niego najzupełniej.

Owady zleciały się również chmurą całą, a brzęczały tak, że je o wiorstę słychać było.

Potem wszystkie przyrzekły, iż jedne dniem, drugie nocą, pilnować będą, by żaden robak nie dotknął młodego króla.

— Niechno mi który z was nie dotrzyma przyrzeczenia, pozna się z naszem żądłem, groziły pszczoły.

A osy potakiwały im, brzęcząc co siły.

W takim gronie przyjaciół rósł sobie młody grzybek aż miło.

Był silny, jędrny, biały.

Stary ojciec nacieszyć się nie mógł swym jedynakiem.

Różni goście odwiedzali go też ciągle i ciekawe opowiadali nowiny.

Jednego poranka przyleciała pszczoła. Stary król myśląc, że na gawędkę, grzecznie ją prosi, by na różowej firletce[1]) spoczęła i słodkim miodem pożywiła się trochę.

Lecz pszczoła pokręciła główką.

— Nie, nie, dziękuję. Gdzież mnie tam

---

[1]) Firletka — drobny kwiatek polny.

o miodzie myśleć teraz. Wielkie stało się nieszczęście. Już po naszym spokoju. Wszystko stracone!

Zaniepokoił się król wielce.

— Szanowna przyjaciółko, cóż to się stało?... powiedz, proszę...

— Nieszczęście. Do lasu sprowadził się leśnik[1]). On sam podobno niezły człowiek, lecz ma dwoje dzieci.

Tu zatrzymała się pszczółka, by tchu zaczerpnąć, a stary król czekał niecierpliwie.

— Od tych dzieci — mówiła dalej — gorszych serc, większych niszczycieli chyba na świecie niema. Wyobraź sobie, mój królu, cały dzień biegają po lesie, zbierają jagody... rwą kwiaty... psują krzewy...

Stary król był tak dobry, że próbował dziatwę usprawiedliwić przed pszczółką.

— To jeszcze nic tak złego, iż tam trochę jagódek zjedzą, czy wianek z kwiatów uwiją. Przecież jagody zbierać, a kwiaty zrywać można.

Obraziła się pszczółka, że jej zaprzeczono.

— Aha, nic złego.., aha, ładne mi trochę... Dobrze to mówić temu, kto ich roboty nie widział, lecz nie mnie. Bywa się przecież tu i tam, różne rzeczy widzi się i słyszy, a jeszcze odkąd żyję, nie spostrzegłam ni razu, żeby jakie stworzenie, choćby nawet najgłupsze, coś umyślnie niszczyło. Nawet taki...

---

[1]) Leśnik — dozorca lasu.

Tu pszczoła umilkła, rozglądając się po słuchaczach, kogoby jako przykład wymienić, gdy wtem zewsząd rozległy się piski... brzęki... szmery...

Zahuczało w lesie...

— Bardzo proszę, pani pszczoło, tylko mnie nie tykać... tylko mnie nie zaczepiać... są inni... są inni...

Tak wołali dworacy jeden przez drugiego, a każdy srożył się, jeżył, każdy po towarzyszach spoglądał.

Widocznie wszyscy poczuwali się choć trochę do tego, że mogą być jako przykład wybrani.

Zanosiło się na burzę.

Lecz stary król ją zażegnał.

— No... no, moi państwo, uspokójcie się. Nasza przyjaciółka nikogo obrazić nie chciała. A teraz prosimy o koniec opowiadania.

Niedarmo pszczołę nazywają mądrą.

Choć ją niespodziewana napaść rozgniewała, ukryła to i spojrzawszy z góry na wszystkich, co mówiąc nawiasem, bardzo było jej łatwo, ponieważ siedziała na wysokiej lipie, mówiła dalej, jak gdyby nic nie zaszło.

— Tak, królu, okropność, co te dzieci wyrabiają. Połowę jagód rozdepczą, a kwiaty to powąchawszy — dalej o ziemię. Niczemu nie darują.

Zamilkła, chłodząc się z wielkiego wzruszenia skrzydełkiem, i po chwili dodała cicho:

— Zbierają nawet grzyby!

— Nawet grzyby! — jęknął król.

A dwór cały powtórzył żałośnie:

— Nawet grzyby!

Nastąpiła cisza. Otrzymana wiadomość przeraziła wzburzone umysły... Wszyscy wzdychali...

Wreszcie pszczółka skończyła opowiadanie.

— Ach niestety, umieją ci niszczyciele wszędzie wcisnąć się wszystko wytropić, wynaleźć. Lada chwila przyjdą tutaj. Lecąc, widziałam ich nawet. Mieli już pełen koszyk grzybów, ale myślicie, że któremu spotkanemu darowali życie? Oj nie!

Nawet nędznej purchawki [1]) nie ominęli. Jedno uderzenie nogi i już po wszystkiem.

Byłaby jeszcze pszczółka mówiła dłużej, gdy zachrzęściały gałęzie, zadudniała ziemia.

Dwie jasne główki wychyliły się z poza liści, i dwa radosne rozległy się okrzyki.

— Co tu grzybów! Co tu grzybów!

Postawiły dzieci koszyki na ziemi i nuż zbierać, pakować znalezione grzyby, gdzie tam które mogło: w założoną sukienkę... na wierzch koszyka... do torby przewieszonej przez ramię.

A ile się przytem grzybów nagniotło, namarnowało? Zliczyćby trudno.

Stary król milcząc patrzał na zniszczenie swego królestwa, lecz ból srogi ściskał jego serce grzybie.

---

[1]) Purchawka — biały grzyb w kształcie kuli, pełen pyłu nasiennego, gdy jest dojrzały.

Myślał biedny, że może mali najeźdzcy nie dostrzegą młodego grzybka, przytulonego do boku ojca.

Gdzie tam! próżna nadzieja.

Już odchodziły dzieci, unosząc zdobycz z sobą, aż nagle dziewczynka odwróciła głowę.

— Patrzno, Wojtusiu, jaki tam śliczny grzybek się chowa. O, nie ujdziesz mi, kochanku!

Poskoczyła i wyrwała.

Lecz gdzie go włożyć... wszędzie pełno. Więc rzuciła grzybek między mchy zielone...

— E... co mi tam po nim. Zostań tu sobie.

Tak, zostań, ale nieżywy... wyrwany z ziemi.

Obejrzała się teraz dziewczynka dokoła.

— Wojtusiu — zawołała — patrz, cośmy narobili. Jak tu teraz smutno! Jak tu inaczej!... O mój Boże!

Uciekały dzieci z lasu, jakby kto gonił za niemi.

Tak, gonił je żal.., żal zła wyrządzonego.

A tam w głuszy leśnej leżał młody grzybek bez życia.

Stary ojciec chylił się nad nim, a krople rosy wieczornej niby łzy spływały wolno... wolniutko...

Co to znaczy: polanka, — muchomory, — kubek w kubek, — marsz tryumfalny, — kapelmistrz, — dworek, — zażegnać burzę, — mówiąc nawiasem, — wzburzone umysły, — wytropić?

TOCIA.

Żyła sobie raz na świecie dziewczynka imieniem Tocia. Wszyscy ją lubili i kochali, nawet zwierzęta. Stary wyżeł[1]) Nero nie mógł dość nacieszyć się, naskakać, skoro rano wchodziła do pokoju.

Krowy na podwórku także niby weselej ryczały: muu... muu! gdy panienka chleb ze solą im niosła.

I źrebaki nie tyle do cukru, ile do Toci spieszyły.

A już co kury, co perlice, gołębie!

Jakby na rozkaz zbiegało się to ze wszystkich stron, niech tylko biała sukienka Toci mignęła na dziedzińcu, niech tylko rozległo się wołanie.

— Cip — cip, kuruchny!

Lub też:

— Dyś! Dyś! gołąbeczki... Dyś! Dyś!

Wprawdzie Łukaszka, służąca od drobiu,

---

[1]) Wyżeł — gatunek psa myśliwskiego.

mówiła, że to ziarno i groch takie przywiązanie w ptakach rozbudzają, lecz ja temu nie wierzę.

Gdzieżby ptaki mogły być wyrachowane, one, co liczyć nawet nie umieją. To plotki!

Była więc nasza Tocia kochana ogólnie, była niby cukier słodka, a raczej niby cukierek, lekkim kwasikiem zaprawiony.

Bliższych szczegółów o tym kwasiku, czy też o tej wadzie, jak się komu podoba nazywać — dowiedzą się czytelnicy trochę później.

Jednego popołudnia poszły dzieci na przechadzkę.

Wązka ścieżyna wiła się przez łąkę, tonąc wśród gęstej trawy.

Ale ktoby tam szedł porządnie ścieżką, gdy z obu jej stron kipi całe morze zieleni. Morze, tysiącem kwiatów potrząśnięte.

Pstrzy się to wszystko, że aż oczy bolą patrzeć. Białe, niebieskie, żółte, czerwone główki, kity i pióra chylą się ku ścieżce, jak gdyby w dzieciach kwiaty swych druhów[1]) poznawały i zapraszały w gościnę, jak gdyby im mówiły:

— Chodźcie pobawić się z nami!

Oj, źle wyszły kwiaty na tych zaprosinach!

Niby dwie rybki w wodę, plusnęły dzieci między kwiecie wonne, zanurzyły się w falach zielonych i dalejże zrywać.

Tocia szczególniej upamiętania nie znała.

---

[1]) Druh — przyjaciel.

Niedługo małe jej piąstki objąć nie mogły snopa białych rumianków, złocistych jaskrów i słodko woniejących gwoździków.

— Cóż będziemy teraz robili? — zapytuje brata i dodaje żałosnym głosikiem.

— Chciałabym jeszcze zrywać kwiaty, lecz już utrzymać ich nie mogę!

A Walerek proponuje:

— Splatajmy wianeczki.

— I owszem, to doskonała zabawa.

Rzuciły się dzieci na trawę. Ach, jak tam miękko! jak chłodno!

Walerek zabrał się zaraz do roboty, lecz Tocia ani myśli o wianeczkach, przerzucá rozsypane wokół kwiecie, gniecie je, miętosi, obrywa płatek po płatku.

— Nie psuj kwiatów, Tociu — upomina brat.

— Czy ja psuję? Widzisz, Walerku, chcę z tych złotych środeczków rumianku zrobić naszyjnik dla lalki.

— Masz tyle innych, piękniejszych.

— Prawda, lecz nie mam tego. Albo zresztą usłucham cię, już nie chcę naszyjnika, zrobię rzecz inną.

— Cóż takiego? Powiedz.

— Aha, jakiś ciekawy — zaraz zobaczysz...

Chwyta Tocia z zapałem kwiaty, rwie je na strzępy — a Walerek przygląda się zaciekawiony i myśli:

— Na co jej to potrzebne?

Gdy już cały fartuszek jest pełen róż-

nokolorowych płateczków, Tocia zrywa się i znienacka spuszcza na brata obłok wonnego kwiecia.

— Śnieg !śnieg! — woła, klaszcząc w dłonie.

— Sliczny mi śnieg, czerwony, żółty, nie wiem gdzie taki widziałaś.

Śmieje się Tocia — śmieje się i Walerek, lecz po chwili patrząc na zniszczone kwiaty, mówi poważniej:

— Szkoda ich jednak! Przed chwilą żyły jeszcze.

Ale dziewczynki nie wzrusza to wcale.

— Wielka mi szkoda — odpowiada pogardliwie. — Czy to kwiatów na łące zabraknie?

Naturalnie, że kwiatów na łące nie zabrakło, chociaż Tocia napsuła ich mnóstwo, chociaż jeszcze cały pęk świeżo zerwanych do domu przyniosła.

Ale czy tamtych, które tak marnie zginęły, nie było szkoda?

— Podwieczorek już gotów. Chodźcie dzieci — woła mama.

Lecz Tocia prosi:

— Zaraz, zaraz, mamuniu. Przyjdę za chwilkę, tylko bukiecik ułożę.

Jeszcze mało było tej nienasyconej psotnicy obfitego łupu,[1]) jaki na łące zebrała,

---

[1]) Łup — rzecz gwałtem albo podstępem zabrana.

jeszcze jej się róż, nasturcji i innych ogrodowych kwiatów zachciało.

— Jakie ta nasturcja ma ogonki słodziutkie — mówi do siebie, ogryzając kwiaty — a ze stokrotek, skoro się płatki odrzuci, to takie ładne guziki zostają — można nimi ubrać sukienkę lalki.

Psuje Tocia biedne rośliny, wreszcie zmęczona, pochyla główkę na rękę, którą na miękkiej wsparła murawie. Chce jej się spać i już prawie przymyka oczy — wtem patrzy: z poza drzew wychodzi jakaś pani.

Pani śliczna, aż jaśniej się zrobiło, skoro stanęła przed Tocią.

A taka dziwna, bo to buzię ma różową i rączki także i suknię tego samego koloru.

Wskroś cała prześwieca blaskiem.

Deszcz włosów złotych spływa z jej głowy, uwieńczonej koroną pączków różanych.

I pełno tych róż wszędzie: na sukni, u szyi, u ramion.

Choć zerwane, kwiaty żyć się zdają. Woń słodka z nich płynie, a one tulą się do swej pani, jak gdyby ją pieścić lub całować chciały.

Ale mimo tych pieszczot śliczna twarzyczka smutna czy poważna jest bardzo.

Może zresztą tylko Toci tak się zdaje.

— Któż to jest taki? — myśli.

Pewnie jakaś znajoma mamy przyjechała w odwiedziny. Gdzieżby miała być smutną!

Pani zbliża się do dziewczynki, bierze ją

za rękę i prowadzi z sobą. Widocznie coś ładnego jej pokaże.

Wychodzą z ogrodu. Przed bramą stoi powozik, śliczny, bo śliczny, lecz zupełnie podobny do tych kwiatów, które dzieci trzewiczkami nazywają.

A do powozika zaprzężone, ani zgadlibyście co. Oto dwie takie ważki[1]), co to nad wodami tańczą dzień cały. Migotają w słońcu ich skrzydełka, podobne do żywych szafirów[2]), drżą, trzepoczą się, wyrywają do lotu.

Na koźle siedzi poważny chrabąszcz w bronzowej liberji i z całej siły skrzydlaty zaprząg hamuje.

Wsiadła pani z Tocią do powoziku, ważki rozwinęły skrzydełka i uleciały w powietrze.

Lecą... lecą gdzieś wysoko... daleko.

Roje złotych muszek, różnobarwnych motyli i drobnych, jak powietrze przejrzystych owadów zewsząd powozik otaczają i brzęczą... Żżż! Żżż! i tańczą, i wirują, i jak mogą, uprzyjemniają jadącym drogę.

Zatrzymał się nareszcie powozik przed dużym ogrodem. Zamykał go złoty parkan ze złotą bramą.

Było to królestwo kwiatów.

Pani, jako dobra gospodyni, wyjeżdżając,

---

[1]) Ważki — duże owady o przezroczystych skrzydłach, nad wodą mieszkające.

[2]) Szafir — drogi kamień szafirowego t. j. ciemnoniebieskiego koloru.

zamknęła królestwo na ogromny klucz brylantowy, który wisiał u jej paska.

Teraz otworzyła bramę i weszła.

Dwie osy, stojące u wrót, broń sprezentowały i czemprędzej zadzwoniły w kielichy powojów, oznajmiając poddanym szczęśliwą nowinę, że królowa powraca.

Na Tocię nikt nie zwrócił uwagi, ale ona za to ciekawie się przypatrywała.

Bo też było na co patrzeć!

Jakie tylko kwiaty są na świecie, wszystkie tam rosły, a każdy gatunek osobno, każdy na własnym gruncie.

Tu płonęły ogniem żółte chryzantemy, a obok nich tulipany strzelały w górę, niby płomyki czerwone.

W sąsiedztwie rosły poważne, od pereł bielsze lilje, dobrotliwie chyląc swe kielichy ku bratkom, co się do stóp ich tuliły. Tam znów całe pole narcyzów patrzało w błękit nieba tysiącem ócz śmiejących, ówdzie kraśniały maki i drżały powoje na swych długich łodygach.

A inne, inne kwiaty, leśne, polne, łąkowe, cieplarniane, wszystkie tutaj rosły w przyjaźni i zgodzie.

Tam, między ludźmi, każdy z nich miał swoją porę rozkwitu, lecz w tem czarodziejskiem królestwie nie więdły nigdy, ciągle pokryte pąkami i kwieciem.

Nieprawdaż, że to było nadzwyczaj dziwne? Lecz jeszcze nie koniec na tem.

Aleje i ścieżki w ogrodzie wysypane były piaskiem brylantowym, altanki zaś z promieni słońca zrobione.

Wszędzie szemrały strumyki, biły w górę wodotryski i od czasu do czasu, niby deszczyk drobniuchny, spadała rosa.

Kiedy pani wraz z Tocią przechodziły obok kwiatów, to one pochylały główki, lecz tak jakoś szczególnie, że ten ukłon wyraźnie tylko dla pani był przeznaczony.

Poznała teraz Tocia, kto jest jej towarzyszka:

Była to królowa kwiatów.

Zbliżono się do końca ogrodu, gdzie stał wysoki płot potrójny z kaktusów,[1]) ostu i suchych badyli[1]) zrobiony.

Ach, jakże za tym płotem było ponuro i smutno!

Zaraz przy wejściu siedział wielki czarny pająk, z wylupiastemi oczami i sznurem kaktusy oplatał.

Naga ziemia wszędzie była pokryta mnóstwem kwiatów, porwanych na strzępy. Całe góry płatków rumianku i astrów, całe stosy żółtych środeczków... pokłady listków tu i owdzie leżały.

Ścisnęło się serce Toci i zawołała:

— Ach, mój Boże! kto tyle kwiatów napsuł?... kto był taki okrutny?

---

[1]) Kaktusy — zamorskie rośliny w kształcie kolczastych łodyg. — Badyle — uschnięte łodygi roślin.

Wtedy po raz pierwszy przemówiła do niej królowa.

— To twoje dzieło, niedobra dziewczyno. To ty dla bezmyślnej zabawy uśmierciłaś te niewinne kwiatki. Musisz odpokutować swą winę.

— Łaski, pani królowo! Przebacz! — jęknęła Tocia.

Królowa uśmiechnęła się smutno.

— I cóż z tego, gdybym ci przebaczyła? Czy wróciłoby to życie kwiatom, a z twej duszy, z twej pamięci zabrało wspomnienie złego czynu? Nie, krzywda naprawioną być musi, i to szczęście dla ciebie, że naprawioną być może, bo... — i królowa zawahała się — bo inaczej spokojubyś w życiu nigdy nie zaznała.

Opuszcza Tocia główkę na piersi i już prośby o łaskę nie powtarza, tylko ogarnia ją jakiś lęk, jakiś żal, coś, czego nigdy jeszcze w życiu nie doznawała.

— Czuje się winną, ach, tak bardzo winną!

Tymczasem królowa dalej mówi:

— Czytam w twej duszy, dziewczynko, i widzę, że krzywdę wyrządzoną pragniesz naprawić.

— O, tak — zawołała Tocia.

Samo pragnienie nie wystarcza — tu trzeba czynu.

— Zrobię wszystko, co każesz, królowo.

— Dobrze więc. Ukręć sobie nitkę, zrób igłę i poszczepiaj biedne rośliny. Tylko nie po-

myl się: do każdego środeczka trzeba odpowiednie dobrać płatki. Gdy skończysz tę robotę, ja kwiaty do życia przywrócę, a z twej głowy zdejmę ciężar wspomnienia.

Lecz uprzedzam cię, praca będzie trudna i długa. Wszak łatwiej psuć, niż naprawiać?

Łzy popłynęły z oczu Toci, ale powtórzyła raz jeszcze:

— Zrobię wszystko.

Popatrzała królowa na dziewczynkę i powiada znowu:

— Żal mi cię bardzo, żal i rodziców twoich, którzy w tęsknocie zostali. Więc słuchaj. Dla nich to daruję ci winę i cofnę karę. Możesz wrócić do domu, w tej chwili, wystarcza, byś to życzenie głośno objawiła, tylko...

— Tylko co, pani królowo?

— Tylko pamięć o tem, co zrobiłaś, nigdy ci z serca nie zniknie.

— A kwiatki czy wrócą do życia?

— Nie wrócą. Pozostaną tutaj, zdala od swoich siostrzyczek, które wciąż do nich będą tęskniły, — tęskniły przez ciebie... Teraz wybieraj!

Zakryła Tocia dłońmi twarzyczkę i myśli. Coś tam wre, coś tam walczy w małem serduszku, bo dziewczynka drży cała, wreszcie cichnie wszystko, uspakaja się...

Opuszcza Tocia ręce i spogląda w twarz królowej bardzo smutnemi, lecz i bardzo poważnemi oczyma.

— Już wybrałam — mówi. Pozostanę tu-

taj. Mogłabym znieść nawet gorycz wspomnienia, to byłaby słuszna kara; ale tego, by inni przeze mnie cierpieli, tego, by inni za swoimi, jak ja płakali, znieść nie mogę. Serce pękłoby mi z żalu.

Cóż się to stało? Tocia, mała dziewczynka, mówi nagle niby dorosła osoba.

Skądże ta przemiana?

Słyszałam, że ból i cierpienie ludzi o dziesiątki lat naprzód w jednej chwili posuwają.

Miałoż-by to być prawdą?

Wysłuchała królowa odpowiedzi Toci spokojnie i choć odpowiedź była piękna, nie pochwaliła jej, bo za spełnienie obowiązku chwalić nie trzeba — tylko rzekła:

— Dobrze, dziewczynko, i zniknęła.

Tocia pozostała sama. Ale nie, był tam jeszcze ten pająk szkaradny.

Nie spuszczał ani na chwilę oczu z dziewczynki, a wyciągając ku niej swe długie kosmate łapy, zdawał się grozić.

— Tylko spróbuj ucieczki. Pochwycę ja ciebie!

Lecz Tocia o ucieczce nie myślała.

Trzymało ją coś silniejszego od trwogi przed pająkiem, trzymała ją własna wola — szczera chęć nagrodzenia krzywdy wyrządzonej.

Zrobiła sobie dziewczynka igłę z kolca cierniowego, ukręciła nitkę z włókien pokrzywy i zaczęła składać razem cząsteczki kwiatów.

Robota jednakże idzie niesporo. Paluszki pokłute, bąblami pokryte, ledwie się poruszają. A przytem te wszystkie płatki tak podobne jeden do drugiego, jak tu wybierać, jak dobrać?...

Męczy się Tocia, przerabia dziesięć razy jedną robotę, ale nie ustaje, nie zniechęca się. Nie ustaje, chociaż pot na białem czole perłami stoi.

Ach, co za szczęście, już jeden kwiatek skończony, potem drugi, trzeci, dziesiąty.

Przybywa roboty, ale i czas płynie; upłynęło go już wiele, a Tocia nawet rachować nie może, bo tam w królestwie kwiatów wieczny dzień i wieczna wiosna.

Czuje tylko dziewczynka, jak coraz silniejsza tęsknota do matki, do swoich wzrasta w jej sercu, ale i czuje zarazem, że ten ciężar winy, który ją przygniatał, coraz jest mniejszy.

Jedno wynagradza więc drugie. Och i jak jeszcze!

Czas płynie... postępuje robota — coraz mniej płatków na ziemi leży — już wszystko skończone.

— Ach — woła Tocia. — Nareszcie! Lecz ileż ja tu dni przesiedziałam. Kto wie, może nawet rok cały?

Spogląda na pająka, a ten wyciąga ku niej pięć ramion i kiwa niemi.

Przeraziła się dziewczynka.

— Jakto, pięć lat, to być nie może!

— A jednak jest — zabrzmiał głos królowej. — Inaczej my tutaj w państwie kwiatów żyjemy, inaczej dla nas czas płynie, niż dla mieszkańców ziemi.

Dotyka królowa złotym prętem kwiatów, leżących na ziemi, a one powstają jak żywe i chylą się do stóp swej pani, a potem Tocię wonnym[1]) otaczają kręgiem[2]).

Choć milczą, dziewczynka rozumie tę niemą podziękę. Więc serce jej wzbiera radością wielką.

— Już moja pokuta skończona? Już złe naprawione! Mogę teraz wrócić do swoich — woła w głębi duszy i wnet dzieje się coś dziwnego.

Wszystko niknie z jej oczu: i królowa i kwiaty i płot kaktusowy, a ona sama siedzi pod cieniem lipy, tuż obok rodzinnego domu.

— Tociu! Tociu! — słychać wołanie.

To głos mamy.

Dziewczynka biegnie czemprędzej i za chwilę obejmują ją i tulą do siebie ramiona kochane.

— Gdzieżeś ty była — córeczko moja? Szukamy cię wszędzie! Ale co to znaczy? taka jesteś blada — na rękach bąble, musiałaś dotknąć się pokrzywy?

Tocia nie odpowiada mamie, tylko sama pyta:

---

[1]) Wonny — pachnący. [2]) Krąg — koło.

— Jakże to dawno mnie szukają?

— O już dobre pięć minut. Walerek aż na łąkę pobiegł, myśląc, że cię znowu przy kwiatkach zastanie, ty niepoprawna psotnico i niszczycielko!

Tocia wzdryga się na te słowa i myśli:

— Pięć minut byłam tylko zdala od mamy, a mnie się zdaje, że to pięć lat przynajmniej.

Jakież te chwile w cierpieniu i smutku są długie!

Tuli się dziewczynka do matki i prosi ją:

— Nie nazywaj mnie, mamo, tym brzydkim wyrazem «niszczycielka» — to już przeszło... to się już nigdy nie powtórzy.

— I nie powtórzyło się ni razu!

Co to znaczy: naszyjnik, — płatki kwiatków, — zginąć marnie, — sprezentować broń, —. wspomnienie, — wahać się, — obowiązek, — rodzinny dom?